

LL! on tour: Galatasaray - Bursaspor

Sobota, 10 marca 2018 r. godz. 08:39, źródło: Legionisci.com

Na kolejny wyjazd z cyklu "Z Piłką Przez Świat" udaliśmy się do miejsca, które już od dawna przewijało się w naszych głowach. Dzięki promocji krajowego przewoźnika i kilku innym dogodnym okolicznościom (m.in. przerwie w meczach koszykarskiej Legii), a przede wszystkim ciekawym terminarzem ligi tureckiej, w ostatni weekend lutego udaliśmy się do Stambułu.

Planowanie wyjazdu meczowego do Turcji łatwe nie jest, bowiem dokładne terminarze danej kolejki ustalane są czasem na tydzień wcześniej. Tak też było w tym przypadku. Nauczeni dawnym wypadem do Bukaresztu, gdzie derby przeszły nam koło nosa (w poniedziałkowy wieczór), tym razem wyjazd zaplanowaliśmy do wtorku. Tak, aby na pewno nie stracić spotkania Besiktas - Fenerbahce. To zresztą od samego początku miał być główny gwóźdź programu, wokół którego planowaliśmy dodatkowe meczowe atrakcje.

Dobrze, że zawczasu, tj. ze dwa miesiące przed wyjazdem, udało się zrozumieć obecny system biletowy w Turcji. Mianowicie na mecze każdego klubu, wstęp na stadion odbywa się na podstawie karty kibica tzw. "Passolig card". Sprzedaż biletów również prowadzona jest przez jeden oficjalny kanał dla wszystkich klubów od ekstraklasy po drugą ligę (strona passo.com.tr). Istnieje możliwość wyrobienia karty danego klubu z herbem, co dla Turków pewnie jest najbardziej oczywiste, natomiast dla turystów może okazać się nieco bardziej skomplikowane. Otóż często jest tak, że sprzedaż biletów na dane spotkanie najpierw możliwa jest tylko dla posiadaczy kart z logo danego klubu, dopiero później dla kibiców bez przypisanego klubu. Oczywiście, można wyrobić sobie dowolną liczbę kart, za każdą płacąc osobno. Ich ceny są podobne (ok. 40 zł), choć nie identyczne.

Jako, że dokładny terminarz poznaliśmy dopiero tydzień przed wyjazdem, już wcześniej przygotowałem spis wszystkich ciekawych meczów w innych rozgrywkach. Niestety, w tym czasie koszykarskie rozgrywki w lidze tureckiej, podobnie jak w Polsce, pauszowały. Nie dane nam było więc zobaczyć tureckiego fanatyzmu w koszykarskich arenach. Żałować można jedynie, że nie kupiliśmy biletów lotniczych na czwartek, bowiem wówczas mielibyśmy okazję pojechać na euroligowe spotkanie Fenerbahce. W tej sytuacji pozostawał nam jedynie piątkowy mecz Anadolu Efesa z Žalgirisem Kaunas, który jednak w ostatecznym rozrachunku bezdyskusyjnie przegrał z meczem piłkarzy Galatasaray. Oba spotkania wypadły w piątek o tej samej porze (jeden o 20:00, drugi o 20:30), więc nie dało się złapać obu srok za ogon. Mając do wyboru koszykarską ucztę, ale bez prawdziwych fanatyków (Anadolu Efes nie dorobił się kibiców, nie licząc właśnie pasjonatów samej dyscypliny) i możliwość podejrzenia "UltrAslan" z "Galaty", nie mieliśmy żadnych wątpliwości.

Plany krzyżowała nam jedynie konieczność odebrania kart kibica na stadionie... Besiktasu. Tureckie "Passolig cards" niestety nie są wysyłane zagranicę i można je odbierać w wybranych przy rejestracji punktach, a bez dokładnego terminarza, to właściwie wrócenie z fusów. Na piątek mieliśmy plan prosty: lotnisko - hotel (jedna ekipa) - karty kibica (druga ekipa) - Türk Telekom Arena. Wszystko na styk, bez możliwości błędu. A tu jak na złość, kiedy wyluzowani rozsiedliśmy się w fotelach lotniskowego baru, dowiadujemy się o opóźnieniu naszego lotu. Opóźnienie oznacza brak możliwości odbioru kart ze stadionu Besiktasu (punkt czynny do 18:00 lokalnego czasu). Nic na to poradzić nie mogliśmy, a załamywać rąk nie ma sensu. Walczymy do końca, tym bardziej, że przewidując taki właśnie scenariusz, sprawdziłem, że mając bilet w systemie, i nie mając karty przy sobie, organizator meczu powinien wydać kartę jednorazowego wstępu na podstawie danych z systemu oraz dokumentu tożsamości.

Z lotniska Ataturka ruszamy prosto zamówionym wcześniej 7-osobowym pojazdem. Tyle, że nie do hotelu, a prosto na stadion. Po

drodze, kierowca informuje nas, że właśnie Galatasaray strzelił pierwszą bramkę. Nam na tę chwilę pozostawało podziwiać rozległość miasta oraz negocjować ostateczną cenę przejazdu (ze względu na zmienioną trasę). Kiedy docieramy do celu i naszym oczom ukazuje się Türk Telekom Arena. W sześciu wysypujemy się z pojazdu, zaś jedną osobę (wyrobił tylko kartę do muzeów, gdzie nie trzeba było podawać danych osobowych) zostawiamy, by zawiozła nasze bagaże do hotelu. Okazuje się, że wysiedliśmy przy wejściach na sektor gości. Po paru minutach jesteśmy już przy kołowrotkach, którymi powinniśmy wejść na stadion. Problem w tym, że nikt nie mówi po angielsku. Po małej bieżance od jednej bramki do drugiej, w końcu ktoś wskazał nam drogę do "ticket office".

Z dwóch gości siedzących w środku jeden co nieco rozumiał, co do niego mówimy, drugi zaś totalnie nie ogarniał ani języka, ani systemu biletowego. W końcu udaje się dostać jedną, drugą jednorazówkę, ale zamiast sześciu, otrzymujemy ich pięć. Jak tłumaczy jeden z gamoni zza szyby - jedna z kart została już odebrana pięć minut temu. Na nic zdają się tłumaczenia, że to zwyczajnie niemożliwe, bo pięć minut temu, to staliśmy właśnie przy tym okienku. Druga połowa spotkania trwa w najlepsze, a my po zakupieniu biletów po 130 złotych (najtańsze kosztują 80 zł), musimy kłócić się z jakimś idiotą. Gadanie zresztą nie miało sensu, bowiem gość wydawał się głuchy jak Beethoven i powtarzał cały czas tę samą formułkę, że karta została już wydana. Po czym pokazał na zegarek, że on musi lecieć, zasłonił rolety i tyle go widziano. Pełna profeska.

Nie ma jednak rzeczy niemożliwych dla polskich kibiców. Była już 60-70 minuta spotkania, więc ochrona nie była aż tak czujna. Udało się przy jednym kołowrotku (właściwie to takie bramofurty, jak na sektorach gości w Polsce), gdzie przytykając jedną kartę "wkreślić" dwie osoby. Później powierzchowna kontrola osobista i już można było zająć miejsca w jednym z narożników. Akurat trafił nam się ten przy samym młynie gospodarzy. Sektor gości zaś mieliśmy dokładnie po przekątnej. To co dziwić może w tureckich realiach, to rozłożenie sektorów VIP - te bowiem znajdują się zarówno na prostych, jak i na jednej trybunie za bramką, czyli dokładnie nad młynem "Galaty". To, co również rzuciło się od razu w oczy, to rozgrzane do czerwoności nagrzewnice umieszczone pod dachem i ogrzewające miejsca na wszystkich trybunach.

Na mogącym pomieścić 52,6 tys. kibiców, zajętych było mniej więcej 40 tysięcy miejsc. Młyn gospodarzy i ich oflagowanie? Bez szału. Osób zaangażowanych w doping niewiele ponad 500. Czasem oczywiście włączały się pozostałe trybuny i faktycznie przy pieśniach na cały stadion było znacznie lepiej, ale przy takim potencjale (łączna frekwencja), można się było spodziewać znacznie więcej. Spotkanie rozgrywane było wybitnie do jednej bramki - miejscowi wygrali je wysoko 5-0. Nam udało się załapać na dwie ostatnie bramki, które celebrowano - tak jak u nas - razem ze spikerem, podając nazwisko strzelca.

Flagi Galatasaray zostały wywieszone na piętrze nad młynem, a bezpośrednio przed miejscami VIP i co ciekawe - za obiema bramkami. Dominowały dłuższe, kilkunastometrowe płótna, wśród których nie mogło zabraknąć "Ultraslan". Jeśli chodzi o szaliki miejscowych, to te były dość nietypowe. Zamiast normalnych szali, mieli jakieś miniatutki, co zresztą jak się później okazało, jest standardem także na pozostałych stadionach w tym kraju.

Kibice gości na to spotkanie przyjechali w dobrej liczbie - ok. 1000 osób. Do przejechania mieli 150 kilometrów, a dystans do pokonania w 2,5 godziny. Na tureckie realia można to uznać za jeden z bliższych wypadków. Kilka razy zaznaczyli swoją obecność, być może głośniejsze dopingowali zanim udało się nam dotrzeć na stadion, kiedy jeszcze wynik nie był dla nich tak bardzo niekorzystny.

Po końcowym gwizdku chwilę trwało świętowanie zwycięstwa z piłkarzami, a chwilę później wszyscy opuścili stadion i udali się na pobliską stację metra. Mijając stragany z rozłożonymi pamiątkami "Galaty", widać także neon "Ali Sami Yen" - upamiętniający stadion, który służył klubowi w latach 1964-2011. Mogący pomieścić 22 tysiące kibiców obiekt (często wpuszczano więcej widzów niż dozwolona pojemność), został zburzony w 2011 roku, a na tym terenie powstały bloki. Ostatnie spotkanie na Ali Sami Yen, Galatasaray rozegrał w styczniu 2011 roku. Od kilku lat drużyna swoje mecze rozgrywa na znacznie nowocześniejszym, a przede

wszystkim bardziej pojemnym, stadionie Türk Telekom Arena.

I tak pierwszego dnia, udało się nam zaliczyć jakieś 25 minut meczu Galatasaray - jednego z trzech najpopularniejszych klubów Stambułu, jak i całej Turcji. To jednak dopiero był przedsmak tego, co miało nas czekać dwa dni później. Na niedzielę zaplanowane były bowiem derby pomiędzy Besiktasem i Fenerbahce. Jak smakowało "danie główne", opiszę już wkrótce w kolejnej odsłonie tureckiej podróży.

Poprzednie kibicowskie relacje ze stadionów Polski i świata w dziale Na stadionach.